

A.P. MIST

COŚ MOJEGO



Nowy początek
Nowe miejsce
Moja historia



A.P. MIST

COŚ MOJEGO



Copyright © by A.P. MIST
Copyright © by Moje Wydawnictwo
All rights reserved · Wszystkie prawa zastrzeżone

Redakcja: Barbara Wrona (tekstnanowo.pl)
Korekta: Agnieszka Liszowska
Opracowanie okładki: K&K Designer
Skład i łamanie tekstu: K&K Designer
Pomysł na okładkę: MOJE WYDAWNICTWO

ISBN Papier: 978-83-68837-35-3
ISBN Ebook: 978-83-68837-36-0
ISBN Audio: 978-83-68837-37-7



Moje Wydawnictwo

- 🌐 www.mojewydawnictwo.pl
- ✉ wspolpraca@mojewydawnictwo.pl
- 📷 [mojewydawnictwo](https://www.instagram.com/mojewydawnictwo)
- 📞 [mojewydawnictwo](https://www.facebook.com/mojewydawnictwo)
- 🎵 [moje.wydawnictwo](https://www.spotify.com/pl/artist/mojewydawnictwo)
- 📺 [mojewydawnictwo](https://www.youtube.com/mojewydawnictwo)



Czasem człowiek dochodzi do punktu, w którym każdy kolejny dzień wygląda dokładnie tak samo jak poprzedni. W moim przypadku to była codzienność: mieszkanie z widokiem na ruchliwą ulicę, sterty dokumentów na biurku i poranki zaczynające się od biegu przez przeszkody w szpilkach. Metro, telefon, praca, maile, spotkania. Ciągła walka o to, by być szybszą, lepszą, bardziej wydajną. A kiedy wieczorem wracałam do domu, miałam wrażenie, że wszystko, co naprawdę moje, zostało ze mnie dawno wysrane.

– Myślę, że wyjadę stąd na stałe – powiedziałam w końcu.

Brooke podniosła głowę znad telefonu i spojrzała na mnie, jakby usłyszała coś absolutnie absurdalnego. Uniosła brwi, a potem zaśmiała się krótko i z niedowierzaniem.

– Słucham?

– Do Montany. – Przełknęłam ślinę. – Do miasteczka, gdzie mieszkała babcia. Chcę otworzyć kawiarnię.

– Chyba postradałaś zmysły. – Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, jakbym właśnie ogłosiła, że zamierzam zamieszkać na Marsie. – Montana? June, kto normalny rzuca wszystko i wyjeżdża na koniec świata, żeby otworzyć kawiarnię?

Siedziałyśmy w naszej ulubionej knajpcie, przy tym samym stoliku, przy którym od lat omawiałyśmy wszystkie możliwe kry-

zysy zawodowe, miłosne, egzystencjalne. Za szybko głośno szumiało miasto. Klaksony, zniecierpliwione głosy, stukot obcasów na chodniku. To tło, które dotąd było dla mnie naturalne, nagle zaczęło mnie przytłaczać.

– Ktoś, kto ma już dość – odpowiedziałam cicho, wpatrując się w chłodną kawę. – Dość wiecznego biegu i udawania, że wszystko jest tak, jak powinno. Chcę... – zawahałam się, bo to brzmiało tak naiwnie – ...spróbować żyć inaczej. Możliwe, że zwariowałam – przyznałam, wzruszając ramionami. – Ale pierwszy raz od dawna czuję, że naprawdę muszę coś zmienić.

– Zmienić? – Brooke odstawiła swoją filiżankę, stukając porcelaną o talerzyk. – June, ludzie zmieniają fryzurę, kupują nowe buty, ewentualnie rzucają nudną pracę. A ty? Ty zamierzasz spakować walizki i przenieść się na koniec świata, żeby... co? Parzyć kawę?

– Nie tylko parzyć kawę. – W moim głosie zabrzmiał cień złości. – Chcę stworzyć coś swojego. Miejsce, w którym ludzie będą się zatrzymywać, a nie pędzić. Miejsce, w którym ja wreszcie poczuje, że oddycham.

Brooke przewróciła oczami.

– Słodka wizja, ale ty nie masz pojęcia, co robisz. Montana to nie Nowy Jork. Tam nie ma twoich znajomych, nie ma galerii, teatrów, całego tego życia, które kochasz. – Nachyliła się bliżej. – Wytrzymasz tam tydzień, góra dwa, zanim zaczniesz wariować.

Jej słowa bolały, choć wiedziałam, że płynęły z troski. Wzięłam głęboki oddech, starając się nie dać ponieść emocjom.

– A może właśnie tego potrzebuję. Ciszy. Pustki. Przestrzeni.

– Albo próbujesz uciec – odparła chłodno. – Tak jak zawsze, gdy robi się trudno.

Zacisnęłam dłoń na kubku. Jej słowa były jak cios, nie do końca niezasłużony. Ile razy już obiecywałam, że coś zmienię? Ile razy chowałam się za pozorami, zamiast stanąć twarzą w twarz z tym, co mnie bolało?

– Tym razem to nie ucieczka – zaprzeczyłam stanowczo. – Robię coś dla siebie.

Brooke milczała chwilę, ważąc moje słowa. Potem oparła podbródek na dłoni i przyglądała mi się badawczo.

– Bądź szczerą – zaczęła powoli. – To przez niego, prawda? Zamarłam.

– Brooke...

– Och, proszę cię. – Wzruszyła ramionami. – June, znam cię jak własną kieszeń. Nie poradziłaś sobie z tym, że zdradził cię z facetem.

Poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. To jedno zdanie wystarczyło, żebym znów tam była.

Pamiętałam każdy szczegół tamtego wieczoru. Zbyt żywy, zbyt bolesny, żeby mówić o nim głośno. Deszcz lał jak z cebra, a ja przeklinałam swoje szpilki, głupie, nowe, kupione, żeby wyglądać profesjonalnie. Klucz zgrzytnął w zamku, gdy przekreślałam go zziębniętymi palcami. W mieszkaniu było jasno, nienaturalnie jasno, jak na późną godzinę.

Najpierw usłyszałam śmiech. Jego głos. Lekki, swobodny, jakiego dawno nie kierował do mnie.

Stałam przed uchylonymi drzwiami sypialni. Zatrzymałam się, próbując zrozumieć, co dokładnie słyszę. Potem popchnęłam je bez zastanowienia.

Zamarłam.

On. W łóżku. Nie sam.

Mężczyzna obok niego, półnagi, z ręką opartą o jego pierś. Obaj zastygli, a potem zbyt gwałtownie się od siebie odsunęli, ale ten obraz zdążył się wypalić w mojej pamięci.

Czułam, jak całe ciało odmawia mi posłuszeństwa. Ramiona zeszytywniały, nogi zrobiły się jak z waty, żołądek zwinął się w bolesny supeł. Przez chwilę nie docierało do mnie nic – ani ich spojrzenia, ani to, że mój oddech przyspieszył do granic paniki.

– June... – zwrócił się do mnie, ale jego głos zadrżał.

Mogłam zapytać, jak śmiał zrobić mi coś takiego. Mogłam krzyczeć, płakać, szarpać go, domagać się wyjaśnień. A jednak nie zrobiłam nic. Stałam tam z wrażeniem, że patrzę na obcych ludzi we własnym mieszkaniu.

Potem coś w moim wnętrzu runęło. Wybiegłam z mieszkania i zatrzęsłam drzwiami, choć nie pamiętałam, kiedy się odwróciłam. Nogi same niosły mnie do wyjścia.

Znalazłam się na korytarzu, a za chwilę na chodniku. Deszcz uderzył mnie w twarz, mokre włosy przykleiły się do skóry. Dopiero tam pozwoliłam sobie na pierwszy, urwany oddech, który zamienił się w szloch. Nie płakałam z bólu, lecz poczucia, że cały świat, który znałam, był zbudowany na kłamstwie.

Kiedy znów spojrzałam na Brooke, jej twarz była poważna. Położyła dłoń na mojej i westchnęła.

– Martwię się o ciebie, June.

– To nie przez niego – wyszeptałam.

– Naprawdę? – Jej brew uniosła się pytająco. – Bo brzmi jak klasyczny powód, żeby przewrócić swoje życie do góry nogami.

– Nie – powiedziałam już pewniej. – To, co się stało, otworzyło mi tylko oczy. Pokazało, że wszystko, na czym budowałam swoje życie, było udawane. Związek. Praca. To miasto. Nawet ja sama.

Brooke spuściła wzrok, bawiła się łyżeczką, a potem kolejny raz westchnęła.

– Jesteś niemożliwa – mruknęła, a w jej głosie było zmieszanie troski i rezygnacji. – Uparta jak osioł.

– Wiem. – Uśmiechnęłam się blado. – Ale tym razem ta upartość jest wszystkim, co mam.

Przyjaciółka potrząsnęła głową.

– I co ja mam z tobą zrobić? – zapytała pół żartem, pół serio. – Chyba tylko spakować cię w karton i wysłać do tej Montany.

Parsknęłam śmiechem przez łzy, które paliły mnie pod powiekami. Brooke westchnęła raz jeszcze i podała mi swoją dłoń przez stół.

– Dobra. Jeśli naprawdę to zrobisz, jeśli naprawdę wyjeździesz... będę przyjeżdżać. Choćbyś znalazła się na końcu świata, ja zawsze będę dla ciebie, moja Iskierko.

Ścisnęłam mocno jej palce.

– Wiem.

W tym momencie poczułam, że decyzja zapadła naprawdę.

Brooke puściła moją dłoń, a potem na jej ustach pojawił się chytry uśmiech.

– Wiesz, June... Kocham cię, ale nie masz bladego pojęcia, w co się pakujesz. Montana. – Rozłożyła ręce teatralnym gestem. – To nie jest serial o małym miasteczku, gdzie każdy wygląda jak aktor z Hollywood. Tam są krowy. Dużo krów.

– Wiem, że są krowy. – Prychnęłam, przewracając oczami.

– I traktorzyści – dodała z udawaną powagą. – Wiesz, tacy w koszulach w kratę, którzy śmierdzą sianem, stajnią i rozmawiają z maszynami rolniczymi częściej niż z ludźmi.

– Fantastycznie. – Uśmiechnęłam się blado. – Już widzę siebie, jak wychodzę za mąż za lokalnego hodowcę bydła.

– Albo skończysz jako „ta dziwaczka z miasta”, która parzy hipsterską kawę i próbuje uczyć miejscowych, co to jest latte z owsianym mlekiem. – Brooke z trudem powstrzymała śmiech. – Mogę ci już teraz napisać jeden przykładowy nagłówek lokalnej gazety: „Nowa w miasteczku próbuje zastąpić kawę z termosu jakimś wynalazkiem. Skandal!”.

– Dzięki, naprawdę wspierasz moje marzenia.

– Wspieram! – Uniosła ręce w obronnym geście. – Tylko staram się przygotować cię psychicznie. – Nachyliła się, a w jej oczach zatańczyły isierki rozbawienia. – A poza tym... kto wie. Może znajdziesz tam swojego farmera z filmów? Takiego, który o świcie jedzie konno na pole, z rękawami podwiniętymi do łokci i spojrzeniem typu „nie zadzieraj ze mną, mała”.

Zarumieniłam się, choć próbowałam to ukryć za kubkiem kawy.

– Oglądasz za dużo filmów romantycznych.

– Możliwe – przyznała. – Ale nie wmówisz mi, że nie wyobraziłaś sobie właśnie sceny, w której ten farmer bez koszuli naprawia płot, a ty stoisz obok w kwiecistej sukience. Masz kwecistą sukienkę? Musisz koniecznie kupić.

Pokręciłam głową i stwierdziłam bez zawahania:

– Ty jesteś niemożliwa.

– Wiem – odparła z dumą. – I właśnie dlatego będziesz za mną tęsknić.

Jej dowcipne teksty rozluźniły atmosferę, ale w środku i tak czułam ciężar tej decyzji. Choć żartowałyśmy o krowach, traktorach i farmerach, wiedziałam, że przede mną coś znacznie poważniejszego niż sielankowe obrazki. I że nie będzie już odwrotu.

Brooke jeszcze przez kilka minut rozciągała wizję mojego nowego życia, od nauki dojenia krów po romans z przystojnym kowbojem, który codziennie przychodziłby do mnie na cappuccino. Śmiałam się, ale w środku czułam coraz silniej, że to wszystko tylko przykrywka dla naszej obawy – że ta decyzja zmieni mnie na zawsze.

Kiedy wreszcie się pożegnałyśmy i wyszłam na chłodne powietrze, zatrzymałam się na moment na chodniku. Światło neonów odbijało się w kałużach, a gdzieś w oddali zawyła syrena. Miasto tętniło nieustannym rytmem, który jeszcze do niedawna był moim rytmem. A teraz? Czułam, że już nie przynależę do tego miejsca.

Wciągnęłam głęboko powietrze, aż zabolalo. *Jadę tam po spokój, powtarzałam sobie w myślach. Po ciszę. Po nowe życie, w którym nikt mnie nie zrani. Nie jadę dla ludzi. Dla siebie. To będzie tylko moje.*

Byłam tego pewna.



Rozdział 1

Grant

– Ja pierdolę – mruknąłem z niezadowoleniem pod nosem, widząc przed sobą krwistoczerwony wóz postawiony w poprzek jezdni i skaczącą wokół niego białą kropkę. Dziecko. Nastolatkę. Chole-
ra, kobietę.

Zacisnąłem szczęki, przez co zazgrzytałem zębami, po czym delikatnie nacisnąłem hamulec. Nie chciałem uszkodzić swojego trucka, kiedy będę taranował czerwone pudełko i tańczące przy nim stworzenie.

Nie, nie mogłem tego zrobić, choć kurewsko kusilo.

Cholera, dlaczego matka wpoila mi te całe pieprzone poczucie obowiązku wobec słabszych?! Mógłbym po prostu przejechać obok i zignorować dziewczynę. Nie miałem czasu na ratowanie nikogo z opresji, bo byłem umówiony z kimś od zmarłej Winters.

Byłem zaskoczony, kiedy otrzymałem maila od jakiegoś June’a z informacją, że zgłosi się po klucze. Tylko nieoficjalnie stałem się opiekunem starego domu babki Marg i wszystkiego, co po sobie zostawiła, kiedy zmarła. Spadkobierca musiał być doskonale poinformowany, gdzie szukać w razie chęci objęcia spadku. Tylko dlaczego nie pojawił się wcześniej? Przecież Winters nie żyje od pięciu lat. Przez ten czas nikt się tutaj nie pofatygował ani nią nie interesował. Nie wiem nawet, czy ktoś z rodziny był na pogrzebie.

Ominąłem stojące na środku drogi auto i niechętnie zatrzymałem się na poboczu. Zerknąłem w lusterko, ale nie zauważyłem dziewczyny, która jeszcze przed chwilą chodziła wokół wozu.

– Pomoże mi pan? – usłyszałem po mojej lewej, ale nie odwróciłem głowy. – Chyba złapałam gumę. Wiem, że to brzmi banalnie. No wie pan, paniusia pośrodku niczego potrzebuje ratunku, ale... no właśnie tak. Potrzebuję rycerza. Co prawda nie jedzie pan na białym rumaku, ale biały pick-up też jest niczego sobie, a ja...

– Chryste, możesz się zamknąć? – jęknąłem i w końcu odwróciłem się w kierunku wkurwiających dźwięków.

Widok był zdecydowanie mniej irytujący, bo dziewczyna była... piękna. Cholernie piękna. Naturalna, świeża. Jej skóra była jasna, rozświetlona, a brązowe, gęste włosy, opadały jej na ramiona w miękkich falach. Miała w sobie coś młodzieńczego, niewymuszonego, ale jednocześnie emanowała pewnością siebie. Smukła talia, biodra kobiece i pełne, a nogi... Długie, cholera jasna, i jeszcze podkreślone przez wysokie obcasy, które kompletnie nie pasowały do tego miejsca.

Zacisnąłem szczęki i dłonie na kierownicy, próbując odgonić niechciane mrowienie w łędźwiach. Niech to diabli, czy naprawdę jakaś obca kobieta robiła na mnie niezdrowe wrażenie? Prawda była taka, że za długo nie miałem pod sobą żadnej kobiety. Ani na sobie, ani... kurwa, zaczynało mi odwalać. Nieznajoma wyglądała jak z innego świata, wpakowana w biały, elegancki kombinezon, który przylegał do niej tak, że chciałem odwrócić wzrok, by nie myśleć o tym, co ukrywa.

Kto, u diabła, nosi taki strój w Montanie? Kilka mil od miasteczka pełnego farm, bydła i błota. Irytowało mnie to. Irytowało, że ktoś tak niepasujący do tego miejsca sprawia, że dzieje się ze mną coś niepokojącego. I najbardziej irytowało to, że nie mogłem przestać na tego kogoś patrzeć.

– Pan wybaczy, ale ja zawsze dużo mówię, kiedy się denerwuję, a jestem umówiona, a później czeka mnie jeszcze na pewno dużo pracy, sprzątanie i...

– Stop! Będziesz w końcu cicho?

– Och... Okej. – Dziewczyna spochmurniała i spuściła głowę, po czym odsunęła się od drzwi mojego auta.

– Za jakie, kurwa, grzechy? – sapnąłem do siebie.

Przemielilem pod nosem kolejną serię przekleństw i wysiadłem, po czym ignorując niewysoką brunetkę, podszedłem do jej samochodu. Rzeczywiście złapała gumę, ale nie to było niepokojące. Spod maski wydobywała się para, a to oznaczało coś znacznie gorszego – wysiadła chłodnica.

– Potrzebujesz pomocy drogowej – mruknąłem.

– Och, no tak – bąknęła i stanęła tak blisko mnie, że czułem przez ubranie bijące od niej ciepło.

– Przepchniemy go na pobocze – zadecydowałem, kiedy dostrzegłem zbliżające się samochody, i się odsunąłem. – Wymiana opony i tak ci nie pomoże, bo pod maską się gotuje.

– Facet w wypożyczalni mówił, że to jego najlepszy wóz. Szarlatan – rzuciła gniewnie i kopnęła w przebitą oponę. – Cholera! – jęknęła i złapała mnie za rękaw koszuli. Odruchowo chwyciłem ją, chroniąc przed upadkiem, nie wiedząc tak naprawdę, co się dzieje.

– Uważaj – wycodziłem.

– Złamałam obcas!

– Typowe – prychnąłem i ją puściłem, mimo wszystko upewniwszy się, że nie straci równowagi.

– Hayes! – Usłyszałem głos Bradleya. – Co jest?

Odwrociłem się do niego i wzruszyłem niedbale ramieniem.

– Pomóż mi przepchnąć tego grata na pobocze.

– To twoje? Przesiadłeś się na miejskie samochodziki? – zakpił Brad, a wtedy zza moich pleców wyłoniła się ta mała, biała kropka. – Uszanowanie, piękna pani! – zwrócił się do niej.

– Dzień dobry – odpowiedziała. – Pomożecie mi? Jestem już spóźniona.

– Z rozkoszą – odparł i kiwnął na mnie.

Z trudem powstrzymałem się przed przewróceniem oczami, kiedy zauważyłem, z jakim zaciekawieniem i dziwnym podekscytowaniem patrzył na dziewczynę. Po niedługim czasie jej samo-

chód stał już w bezpiecznym miejscu. Próbowałem dodzwonić się do warsztatu, skąd przyjechałoby lawetą, ale nikt nie odbierał.

– Wsiadaj – nakazałem i kiwnąłem głową w stronę mojego pick-upa. – Podwiozę cię do najbliższego miasteczka, później musisz radzić sobie sama.

– A jak nazywa się najbliższe mias...

– Sheridan – wszedłem jej w zdanie.

– Cudownie! Właśnie tam muszę się dostać!

Zaklaskała i ruszyła koślawym krokiem do swojego auta. Otworzyła bagażnik i zaczęła wyjmować z niego walizki i torby.

Obok mnie stanął Brad i trącił mnie łokciem.

– Co to za laska?

– Wiem tyle, co ty. Może jakaś turystka. Generalnie mam to w dupie.

– Ale pomagasz jej.

– Stała pośrodku drogi – stwierdziłem obojętnie. – Wstrzymywała ruch.

– Mogę ją zawieźć na miejsce, a ty weź jej bagaże – zaproponowałem.

– Nie. – Zmrużyłem oczy i ruszyłem w stronę dziewczyny, żeby wrzucić jej rzeczy na pakę.

Bradley pożegnał się mruknięciem i odjechał. Wiedział, że nie warto wchodzić ze mną w dyskusje.

– Nie wiem, jak panu dziękować. Może da się pan zaprosić na kawę? Oczywiście jak już będę mogła ją przygotować. No wie pan, ja...

– Wsiadaj – przerwałem jej kolejny atak paplaniny. – Nie mam czasu na głupie pierdolenie.

Zacisnęła usta i zmrużyła te absurdalnie błyszczące, sarnie oczy, po czym w końcu zajęła miejsce.

– Mogłem cię jednak tu zostawić. Albo rozjechać – wycedziłem, bo byłem pewien, że ta kobieta przyniesie jakieś kłopoty.

Wrzuciłem jej kolorowe walizki na pakę i wsiadłem do samochodu. Ruszyłem bez słowa i zacisnąłem mocniej palce na kierownicy. Czułem, że moja niechciana pasażerka zaraz wybuchnie

i znów zaleje mnie słowotokiem, ale starałem się ją ignorować. Byłoby to łatwiejsze, gdyby nie ten wkurwiająco słodki zapach i przedziwne uczucie, które mrowiło pod skórą.

– Dokąd? – zapytałem, kiedy mineliśmy tablicę informującą, że jesteśmy w Sheridan, a ona nadal się nie odzywała.

– Proszę zostawić mnie w centrum – wydusiła z wyraźnie wymuszoną słodyczą.

– Centrum? Myślisz, że jest tu jakieś centrum? Co najwyżej środek miejscowości.

Dziewczyna zaczęła szperać w torebce. Po chwili znalazła tam jakąś pomietą kartkę.

– Muszę się dostać tutaj, jeśli to nie problem – rzekła z powagą.

– Na Willow Lane.

Zatrzymałem wóz i kiwnąłem głową. Dobrze się składało, bo ja również miałem spotkanie w tym miejscu.

– Nie wiem, czego szukasz, ale nie ma tu żadnych atrakcji dla mieszczuchów, więc...

Nie zdążyłem dokończyć, bo dziewczyna wcisnęła mi w dłoń kilka banknotów, po czym wysiadła.

– Dziękuję za pomoc, gburze! – zawołała i zaczęła sama zdejmować swój bagaż.

Kiedy i ja wysiadłem, trzymała w ręce ostatnią torbę i patrzyła na mnie z zaciętą miną.

– Jak mnie nazwałaś?

– Masz na myśli to, co już powiedziałam, czy może wszystkie epitety, które jeszcze nie zostały wypowiedziane? Byłam pewna, że znajduję się w cywilizowanym miejscu, ale ciebie, lodowy królu, najwyraźniej wychowywały krowy. Chociaż one mają chyba więcej kultury.

– Słucham?!

– Nie dość, że cham, to jeszcze głuchy?

– Co cię ugryzło?

– Słyszałam, co mówiłeś, zanim wysiadłeś. Słyszałam też, co powiedziałeś, zanim ja wsiadłam do twojego cholernego samochodu. Masz rację, trzeba było mnie tam zostawić. Do widzenia!

Nie! Mam nadzieję, że nie! – Ułożyła torby na walizkach, a po chwili zaczęła je ciągnąć po bruku.

– Świetnie. Też mam nadzieję, że już się nie spotkamy – burknąłem i wróciłem do auta, by wyjąć ze schowka papiery i klucze.

Wściekła dziewczyna zniknęła z zasięgu mojego wzroku, a ja ruszyłem w stronę domu babki Marg.

Marzyłem o kawie, a mój ekspres postanowił wyzionąć ducha akurat dzisiaj. Chyba właśnie z tego wynikało moje rozdrażnienie. Bez kawy było mi ciężko normalnie funkcjonować. Awersję do ludzi miałem jednak zawsze.

Kiedy zbliżyłem się do posesji, rozejrzałem się w poszukiwaniu jakiegoś obcego wozu i gościa, który się ze mną kontaktował. Ku mojemu zaskoczeniu, po werandzie przechadzała się... ona. Dziewczyna, którą przywiozłem do miasteczka.

– Czego tu szukasz? – zwróciłem się do niej donośnym głosem, kiedy zaczęła naciskać klamkę lokalu, w którym Winters sprzedawała wyroby cukiernicze.

Przybyszka się wzdrygnęła i zapiszczała, po czym odwróciła się do mnie przodem.

– Ja?

– A widzisz tu kogoś innego?

– Raczej to ja powinnam zapytać, czego ty tutaj szukasz – prychnęła i podeszła do mnie chwiejnym krokiem. W dłoni trzymała obcas.

– Zmiataj stąd i mi nie przeszkadzaj. Czekam na właściciela – odparłem lekceważąco.

Wtedy jej gładkie policzki zaróżowiły się jeszcze bardziej. Zamrugnęła energicznie i rozchyliła pełne wargi.

– Właściciela?

– Nie interesuj się.

– Ja jestem właścicielką tego domu i cukierni. Nazywam się June Winters.



Nieoczekiwanie znalazłam się w środku sceny rodem z hiszpańskiej corridy. Z tą różnicą, że naprzeciwko mnie nie stał rozjuszony byk, lecz wściekły mężczyzna, który z jakiegoś powodu dawał sobie prawo, by mnie stąd wyrzucić. A raczej próbować to zrobić.

– To jakiś pieprzony żart? – zapytał lodowatym tonem, a ja miałam wrażenie, że wszystko wokół rzeczywiście zamarza pod jego wpływem.

– Nie. Kontaktowałam się mailowo z człowiekiem, który ponoć opiekuje się domem Margaret Winters, mojej babci. Jeśli to ty, to mam największego pecha w życiu.

Nie mogłam sobie podarować jadownego tonu.

– Nie możesz być z nią spokrewniona. Nie było cię na pogrzebie. Nie interesowałaś się nią i jej nie odwiedzałaś. Jesteś jakąś naciągaczką? Jak mam niby uwierzyć, że...

– Moja babcia zmarła na zawał – wtrąciłam. – Pięć lat temu. Dokładnie dwa dni po tym, jak dowiedziała się, że... – Przerwałam i spojrzałam mu w oczy. – Nie muszę się tłumaczyć. Mogę ewentualnie pokazać dokument dla poświadczenia, że rzeczywiście jestem tym, za kogo się podaję. Nic więcej nie powinno pana interesować.

– Wobec tego udowodnij – upierał się typ.

Z westchnieniem wyjęłam dokumenty z torebki. Byłam zmęczona i głodna, a w moich planach na pewno nie pojawiała się bezsensowna walka z jakimś nadętym dupkiem w kraciastej koszuli. Brooke miała rację – decyzja, by tu przyjechać i próbować zacząć życie od nowa, była absurdem. Nie nadawałam się do tego, a lodowate spojrzenie, którym obrzucał mnie nieznajomy, tylko mnie w tym utwierdzało.

Niechętnie podałam mu dowód, a on uważnie prześledził go z każdej strony.

– Znam twoich rodziców – burknął i oddał mi go. Później wciśnął mi w ręce pęk kluczy i poszarzałą teczkę, po czym tak po prostu uciekł niczym rażony prądem.

To możliwe, że znał mamę i tatę. Mama, zanim pojawiłam się na świecie, była nauczycielką w miejscowej szkole. Tata z kolei pracował w transporcie. Tak przynajmniej opowiadali, kiedy jeszcze żyli.

Odruchowo przesunęłam dłonią po karku, na którym miałam grubą bliznę. Na wspomnienie minionych bezpowrotnie lat poczułam smutek. Stałam pośrodku niewielkiego skrawka zieleni, patrzyłam w przestrzeń, w której zniknęły szerokie plecy króla lodu, i zamiast odczuwać ekscytację przed nowym początkiem, opanowały mnie rezygnacja i zwątpienie.

Co, jeśli rodzice wyjechali stąd właśnie dlatego, że kompletnie nie nadawali się do życia w takim miejscu? Pewnie mam to w genach i okażę się typowym mieszczuchem. Utopię się w błocie, zejdzie lawina, która przysypie akurat mnie, albo napadnie mnie jakaś krowa. Zdepcze, a później zostawi swój krowi placek na moich zwłokach.

– Ale jestem głupia – stwierdziłam z westchnieniem.

– Dzień dobry, ślicznotko! – usłyszałam gdzieś po lewej stronie. – Szukasz kogoś? Marg nie żyje od kilku lat, więc... – Starsza kobieta zamilkła, kiedy odwróciłam się do niej przodem. – Niech mnie góra przygniecie! Ty jesteś maleńka June!

Zamrugalam i zmrużyłam oczy, bo po spotkaniu z tym jaskiniowcem mój organizm działał instynktownie i z pełną czujnością.

– Skąd pani wie? – zapytałam zdezorientowana, ale z wyraźną podejrzliwością.

– Och, ja wiem o tobie wszystko, kochanie. Przyjaźniłam się z Margaret. Jesteś do niej tak podobna... Ona też była piękna. I te oczy, macie identyczne oczy, June.

– Ja przepraszam, ale...

– Nie, to ja przepraszam – wtrąciła, zanim zdążyłam dokończyć myśl, i podeszła bliżej.

Kobieta mogła mieć jakieś siedemdziesiąt lat, co czyniłoby ją równolatką z moją zmarłą babcią. Patrzyła na mnie ciepło, z dziwną ekscytacją i czymś, czego nie potrafiłam rozszyfrować.

– Jestem Eloise – przedstawiła się, a we mnie uderzyło zrozumienie.

Kiedyś, gdy rozmawiałam z babcią przez telefon, padło to imię. Ujęłam dłoń kobiety i uśmiechnęłam się serdecznie.

– June.

– Przykro mi z powodu tragedii, która cię dotknęła. Na pewno nie jest ci łatwo żyć w samotności. Dobrze, że zdecydowałaś się tu przyjechać.

– Słucham?

– No, bo chyba nie planujesz jednak sprzedać domu i cukierni? Staraliśmy się dbać o wszystko, ale wnętrza wymagają remontu. Myślę, że to właśnie jest twoje miejsce.

– Moje?

– Oczywiście, przecież każdy musi mieć coś swojego. Choćby miał to być niewielki domek i lokal ze słodkościami – mówiła ciepło, a jej oczy błyszczały z ekscytacji. – Gdybyś czegoś potrzebowała, wystarczy, że powiesz, a każdy ci pomoże – dodała.

– Nie każdy – mruknęłam pod nosem, choć w gruncie rzeczy to nie była prawda. Ten gbur, choć niechętnie i z nieprzyjemnymi komentarzami, pomógł mi tutaj dotrzeć.

– Coś mówiłaś?

– Nie, nie. Jestem trochę zmęczona, więc...

– Tak, wejdź, dziecko, do środka i odpocznij – rzuciła staruszka i odeszła żwawym krokiem.

Nim zdążyłam zamrugać, już jej nie było. Rozejrzałam się jeszcze w poszukiwaniu jej sylwetki, ale rozplynęła się w powietrzu.

Wzięłam głęboki oddech, mocniej zaciskając palce na teczce i zimnym metalu kluczy. Ich ciężar w dłoniach wydawał się większy, niż powinien. Nie były to zwyczajne dokumenty i kilka kawałków żelaza, ale symbol czegoś znacznie poważniejszego. To miała być przepustka do mojego nowego życia. Do miejsca, które wreszcie miało należeć tylko do mnie. Do wolności, do wyborów podejmowanych na własnych zasadach.

Kiedy wsunęłam klucz w zamek, przez chwilę się opierał i nieprzyjemnie zazgrzytał, zanim wreszcie ustąpił. Drzwi zaskrzypiały, co zabrzmiało jak ostrzeżenie. Serce zaczęło mi bić szybciej, a ja odruchowo zacisnęłam powieki. Nie wiedziałam, czego się spodziewać, ale obawiałam się, że rzuci się na mnie rój nietoperzy albo z sufitu opadnie na mnie sieć pajęczyn. W głowie miałam obraz starych filmów grozy. Ciemne korytarze, skrzypiące deski, cień przemykający gdzieś w kącie i niepokojące odgłosy.

Odwagi starczyło mi na tyle, by uchylić najpierw jedno oko. Powietrze było ciężkie, ale zupełnie zwyczajne. Nic mnie nie oblepilo ani nie rzuciło się na mnie żadne stworzenie. Otworzyłam więc drugie oko, a potem rozchyliłam usta ze zdumienia.

Wyobrażałam sobie ruinę, obdarte ściany, wybite szyby, podłogę, która zarwie się pod moim pierwszym krokiem. A tymczasem... wewnątrz panował względny porządek. Meble przykryto foliami, na których osiadła jedynie cienka warstwa kurzu, jakby dom przez te lata po prostu spał, czekając na mnie. Nie czułam odoru stęchlizny ani widoku zniszczenia, który mógłby pochłonąć wszystkie moje oszczędności. Zamiast tego odkrywałam miejsce, które wymagało tylko delikatnego przebudzenia.

Poczułam, jak w mojej piersi rośnie ulga zmieszana z ekscytacją. Może los jednak nie zamierzał rzucać mi kłód pod nogi. Może to był znak, że naprawdę mogę zacząć nowe życie.

Odłożyłam klucze i papiery na starą komodę również zabezpieczoną folią i niepewnym krokiem weszłam w głąb domu. Roz-

glądałam się z uwagą, bo wołałam zachować czujność, niż dać się czemuś zaskoczyć.

Przesuwałam dłonią po ścianach i meblach, powoli oswajając się z tym miejscem, aż w końcu dotarłam do przytulnego, choć zakurzonego salonu. Bez chwili namysłu chwyciłam zasłony i gwałtownie za nie pociągnęłam, chcąc wpuścić do środka odrobinę światła. W tej samej sekundzie coś trzasnęło nad moją głową, ciężki, drewniany karnisz runął w dół, a wraz z nim opadł na mnie cały materiał. Pokój wypełnił się duszącym kurzem.

Zaczęłam się krztusić, próbując uwolnić się spod warstw grubego materiału, ale każdy mój ruch tylko pogarszał sytuację. Czułam, jak tkanina oplata mnie coraz ciasniej, a włosy przyklejają się do twarzy. Serce znów biło mi szybciej, gdy nagle ktoś chwycił materiał i jednym stanowczym ruchem szarpnął go w górę, oddając mi wolność.

Odgarnęłam włosy z twarzy i podniosłam wzrok. Stał tuż przede mną wysoki gość, szeroki w ramionach, w koszuli z podwiniętymi rękawami, opinającej jego muskularne przedramiona. Jego sylwetka była dokładnie taka, jaką wyobrażałam sobie u mężczyzn żyjących w Montanie. Surowa, silna, wyrzeźbiona przez ciężką pracę, a jednocześnie naturalna i swobodna. Nawet jego ubranie, wytarte dżinsy, solidne buty i kilka odpiętych guzików – to wszystko sprawiało wrażenie, że nie potrzebował żadnych dodatków, by wyglądać męsko.

Przez krótką chwilę nie oddychałam, zaskoczona tym, że ten gbur jest aż tak... przystojny. Przyłapałam się na tym, że przyglądam się jego twarzy lekko przyciemnionej kilkudniowym zarostem, ostrym rysom, i spojrzeniu, które wydawało się przenikać mnie na wskroś. Poczułam dziwny ucisk w żołądku, coś między fascynacją a irytującą świadomością, że ten człowiek podoba mi się bardziej, niż chciałam to przed sobą przyznać.

Wróciłam do rzeczywistości, gdy zauważyłam, że patrzył na mnie z wyniosłą miną, dając mi tym do zrozumienia, że ta sytuacja była tylko kolejnym dowodem na moją nieudolność. Wrażenie, jakie na mnie robił, jego urok, siła i ta cholerna, pociągająca suro-

wość, nagle wydały mi się jeszcze bardziej irytujące. Bo jakby nie patrzeć, to właśnie ten nadęty dupek stał teraz nade mną i najwyraźniej świetnie bawił się moim kosztem.

– Co tu robisz? – zainteresowałam się, podnosząc się z podłogi i dumnie unosząc podbródek.

– Zdaje się, że ratuję twój nieprzystosowany tyłek przed atakiem starej zasłony – odburknął.

– Mój tyłek to ty zostaw w spokoju – wypaliłam, a on wcisnął mi w brudne ręce kolejną teczkę.

– Twój tyłek będzie na pewno obiektem zainteresowania wielu w Sheridan, ale gwarantuję, że nie znajduję się w tym gronie – rzucił, oddalając się do wyjścia. – Pilnuj się, bo niedźwiedzie lubią kręcić się blisko miasta i byłoby szkoda, gdybyś zaginęła w niewyjaśnionych okolicznościach, zanim sprzedasz wszystko po babce Marg – dodał z kpiącym uśmiechem i wyszedł, nie zamknąwszy drzwi.

– N-niedźwiedzie? Sprzedam? – wymamrotałam, nie odrywając wzroku od oddających się, szerokich pleców.

Otrząsnęłam się dopiero po dłuższej chwili. Pokręciłam głową i wyszłam na zewnątrz, żeby zabrać z werandy swoje bagaże. Wciągnęłam je do środka i zatrzasnęłam drzwi, przez co w powietrzu wzbila się kolejna warstwa kurzu.

– Okej, wystarczy posprzątać. Żaden niedźwiedź ani tym bardziej jakiś dupek nie przeszkodzi mi w rozpoczęciu tutaj nowego życia – powiedziałam do siebie, próbując dodać sobie otuchy. – Dasz radę, June – dodałam cicho, choć już bez tej pewności, którą czułam przed przyjazdem.



Ta dziewczyna... była problemem od samego początku. Najpierw skacząca kropka wokół samochodu, później wpłątana w zasłony jak cielak w drut kolczasty, bezradna i chaotyczna, a przy tym patrząca na mnie z wyjątkowym zacięciem i dumą.

Nie lubiłem takich spojrzeń. Nie lubiłem też ludzi, którzy pojawiali się tu znikąd i myśleli, że Montana się do nich dopasuje. A już na pewno nie lubiłem tego dziwnego ukłucia, które poczułem, kiedy taksowała mnie wielkimi oczami. Była za młoda, zbyt delikatna i zupełnie nie z tej bajki.

Otworzyłem drzwi auta i wsiadłem. Zaciśnąłem dłonie na kierownicy i wziąłem głęboki oddech. To było jasne: ona nie należała tutaj. Nie do tej ziemi, nie do pracy, nie do świata, gdzie dzień zaczynał się o świcie, a kończył po zmroku.

Włączyłem silnik i odjechałem, zdeterminowany, żeby wyrzucić nowo przybyłą z myśli. Tyle że im dalej byłem od jej domu, tym bardziej się zastanawiałem, jak szybko jej się uda to wszystko sprzedać i kiedy się wyniesie.

Podjechałem pod niewielki bar, ten sam, w którym wieczorami zbierała się połowa miasteczka. Stał jak zawsze niepozorny, z szyldem, który pamiętał lepsze czasy, i drzwiami skrzypiącymi

przy każdym wejściu. Zatrzymałem pick-upa, ale nie wysiadłem. Siedziałem z dłonią zaciśniętą na kierownicy.

Coś w moim wnętrzu zostało poruszone. Cholera, czułem się, jakby ktoś pociągnął za jakiś zakurzony, zapomniany sznurek. Musiałem ochłonać, zanim wszedłem do środka. Wbiłem wzrok w szybę, patrząc na odbicie swojej twarzy i próbując udawać, że nic się nie dzieje. Wiedziałem, że to kłamstwo. To dziwne uczucie, które się we mnie zagnieździło, nie chciało dać spokoju. Złościło mnie, że dałem się wytrącić z równowagi.

Po kilku minutach z odrętwienia wyrwało mnie głośnie pukanie w szybę. Powoli, z rozmysłem, obróciłem głowę i zobaczyłem Brada. Oczywiście, że to musiał być on. Uchyliłem szybę, a on od razu wepchnął swój łeb do środka, i to z tym swoim cwaniackim uśmiechem.

– Bryka tej śliczności jest już na warsztacie. To podobno wnuczka babki Marg – rzucił tonem, który od razu zaczął mnie uwierać.

– Podobno – mruknąłem sucho, nawet na niego nie patrząc. – Przyjechała wszystko sprzedać.

Brad zmarszczył brwi.

– Sprzedać? Eloise twierdzi coś innego.

Prychnąłem i mimowolnie zacisnąłem ręce. Nie cierpiałem tego – plotek, półsłówek, badawczych spojrzeń, szeptów po kątach.

– A co ona może wiedzieć? – odburknąłem z wyraźną irytacją i otworzyłem drzwi mocniej, niż trzeba, aż trafiłem nimi w bok kumpla. Zrobiłem to specjalnie. Nie podobało mi się to jego dziwne, ciekawskie spojrzenie. Ani to, że w ogóle poruszył temat, o którym wolałbym nie myśleć.

– Idziesz pić? – zagadnął, masując biodro. – Jest południe.

– Idę na kawę – uciałem i ruszyłem w stronę wejścia.

Słyszałem jego kroki tuż za sobą, bo jak zwykle nie potrafił zostawić mnie w spokoju. Otworzyłem drzwi baru i w środku od razu poczułem znajomy ciężar spojrzeń. Kilka par oczu odwróciło się w moją stronę, mierząc mnie z ciekawością. To było małe mia-

steczko, więc to oczywiste, że każdy wiedział wszystko, a jak nie wiedział, to sobie dopowiedział.

Za ladą stał Gill. Polerował szklanki, choć bardziej wyglądało to na udawanie, że jest zaangażowany w pracę. Usiadłem na wysokim stołku, powoli odsuwając go butem. Brad oczywiście zajął miejsce obok, gotowy wiercić mi dziurę w brzuchu kolejnymi pytaniami.

– Macie tu kawę? – zacząłem, patrząc prosto w blat.

Gill parsknął śmiechem.

– W whisky barze? Nie, stary. Mogę nalać ci procentów, szybciej postawią cię na nogi.

Podniosłem wzrok, mrużąc oczy. Wiedział dobrze, jak jest.

– Nie piję – wycedziłem, już wystarczająco zirytowany.

Nie ruszałem alkoholu od lat i każdy, kto mnie znał, dobrze o tym wiedział.

Gill uniósł ręce w geście poddania, udając skruszonego.

– Żartowałem, spokojnie. Zrobię ci kawę na zapleczu, bo zaraz zaczniesz mordować. – Po tych słowach zniknął za drzwiami, zostawiając nas samych.

Brad odwrócił się w moją stronę i przeszył mnie spojrzeniem.

– Co cię ugryzło? – spytał. – Coś nie tak na farmie?

Przez moment milczałem, czując, jak wewnątrz znowu zaciska mi się coś w piersi. Nie zamierzałem mu się spowiadać.

– Po prostu chcę napić się kawy – odparłem chłodno.

Przez kolejną godzinę siedziałem przy barze i słuchałem, jak wszyscy wkoło prześcigają się w spekulacjach. Tematem numer jeden była oczywiście ta irytująca dziewczucha, która zjawiała się w Sheridan jak grom z jasnego nieba. Jedni mówili, że naprawdę jest wnuczką Margaret, inni, że to tylko jakaś daleka krewna, a jeszcze inni, że zwyczajnie przyjechała tu po to, żeby zgarnąć, co się da, i od razu sprzedać dom oraz tę budę, w której babka sprzedawała ciasto.

Nie odzywałem się, choć wewnątrz sam siebie pytałem, która wersja jest bardziej prawdopodobna. I, co gorsza, która by mi

pasowała. Wiedziałem, że dziewczyna jest wnuczką Winters, ale nie znałem jej zamiarów.

– Słyszałem, że to panna z Nowego Jorku – wtrącił się Hank, stary dziad, który spędzał więcej czasu przy barze niż w domu. – Ma dwadzieścia parę lat. Za młoda na to wszystko. – Pokręcił głową.

– Dwadzieścia parę? – prychnąłem. – Smarkula.

– Ty też byłeś gówniarzem w tym wieku – zaśmiał się Brad, stukając mnie łokciem w bok. – Nie udawaj, że wtedy nie miałeś głupot w głowie.

Rzuciłem mu spojrzenie, które miało go uciszyć, ale jak zwykle nie zadziało.

– Przyjeżdżała tu co lato, jeszcze zanim babka Marg zmarła – dorzuciła kelnerka, która właśnie szła z tacą pełną szklanek. – Nie pamiętacie jej? Mała, z kucykami, zawsze biegała za Margaret jak cień.

– A ja myślałem, że to była wnuczka jej kuzynki z Bozeman – odezwał się inny facet przy stoliku. – No patrz, człowiek mieszka tu całe życie, a i tak nie wie wszystkiego.

Zacisnąłem palce na kubku z kawą. Ta paplanina coraz bardziej mnie irytowała, bo niby nikt nic nie wiedział na pewno, a jednak każdy miał coś do powiedzenia. Plotki rosły jak kula śniegu.

– Jeszcze usłyszymy, że wyszła za jakiegoś biznesmena w Nowym Jorku i przywiozła go do Montany – zażartował Hank, a reszta wybuchnęła śmiechem.

– Nie gadaj bzdur – parsknęła Judy. – Eloise mówiła, że ją widziała. Była sama, a w pobliżu nie kręcił się żaden mężczyzna.

Brad przechylił się na stołku i spojrzał na mnie z ukosa.

– Co o tym myślisz?

Wzruszyłem ramionami, starając się wyglądać na obojętnego, choć w środku coś we mnie drgnęło.

– Myślę, że nie przetrwa tu długo – oceniłem twardo. – Montana nie jest miejscem dla takich jak ona.

– A może właśnie jest – odpowiedziała Judy, unosząc brew, zanim wróciła za ladę.

Nie zareagowałem na ten komentarz. Nie chciałem dać im satysfakcji, że cokolwiek mnie obchodzi, ale prawda była inna. Choć udawałem, że te plotki spływają po mnie jak deszcz po dachu, to każdy strzępek informacji układał mi się w głowie w obraz, którego nie potrafiłem przestać analizować.

W końcu nie wytrzymałem. Odepchnąłem od siebie pusty kubek po kawie, wsunąłem kilka banknotów pod spodek i bez słowa ruszyłem do wyjścia. Brad jeszcze wołał coś za mną, ale nie miałem najmniejszej ochoty dalej słuchać. Za dużo gadania, za mało sensu.

Na zewnątrz uderzyło mnie chłodniejsze powietrze. Westchnąłem ciężko i przez chwilę stałem na progu, z rękami wciśniętymi w kieszenie. Czułem, że potrzebuję wrócić do swojej przestrzeni, której nikt nie będzie zapełniał głupimi pytaniami ani spojrzeciami.

Wsiadłem do pick-upa, a gdy silnik zawarczał znajomym dźwiękiem, od razu poczułem ułamek ulgi. Droga do domu wiodła przez rozległe łąki, a im dalej od miasteczka, tym ciszej robiło się w mojej głowie. Mijałem pastwiska, na których pasło się moje bydło; czarne sylwetki krów odcinały się od złotego światła popołudnia. Ten widok zawsze mnie uspokajał. To był mój świat. Prosty, wymagający, ale uczciwy.

Gdy dotarłem na farmę, zatrzymałem auto przy stodole, chwyciłem kapelusz, który leżał na desce rozdzielczej, i wysiadłem. Powietrze pachniało sianem, ziemią i zwierzętami. Duża hodowla oznaczała dużo ciężkiej pracy, a ta z kolei była tym, co trzymało mnie w ryzach.

Podszedłem do ogrodzenia, oparłem się o drewniany słup i przez chwilę obserwowałem stado. Kilka cieląt skubiących trawę, masywne byki stojące w cieniu, krowy spokojnie przeżuwające zieleń. To była codzienność, w której rozumiałem każdy szczegół. Tutaj nikt nie roztrząsał, kim kto jest i po co tu przyjechał. Nikt nie snuł domysłów, nie burzył spokoju.

Przymknąłem powieki i powoli wciągnąłem powietrze w płuca. Powinienem czuć spokój, a jednak obraz tej dziewczyny, rozwichrzone włosy i spojrzenie pełne uporu usilnie wracały i wyprowadzały mnie z równowagi. Im bardziej chciałem to od siebie odsunąć, tym wyraźniej widziałem ją przed oczami.

– Cholera jasna – syknąłem pod nosem i kopnąłem w drewniany słup, aż pył posypał się z desek.

Praca. Tylko praca mogła mi pomóc. Ruszyłem w stronę obory, by sprawdzić, czy cielaki dostały już paszę. Nie miałem czasu ani ochoty na bzdury.

Wszedłem do środka i od razu uderzył mnie znajomy zapach. Kilka cielaków zaryczało, gdy tylko mnie zobaczyły, dokładnie wiedziały, że zbliża się pora karmienia. Sprawdziłem poidła i przeszedłem między kojcami. Moje dłonie automatycznie wykonywały kolejne czynności: dosypałem paszy, poprawiłem wiązania, przyjrzałem się jednemu cielakowi, który wyglądał na osłabionego. Wszystko to robiłem w ciszy, którą przerywał tylko pomruk zwierząt i szelest słomy pod butami.

Ta cisza była dla mnie ratunkiem. Gdy zajmowałem się farmą, świat na zewnątrz przestawał istnieć. Zwierzęta nie oceniały, nie zadawały pytań, były ufne i nie nosiły w sobie zła.

Kiedy skończyłem pracę, wyszedłem i oparłem się o framugę drzwi, mrużąc oczy od popołudniowego słońca. Rozciągały się przede mną akry mojej ziemi, pastwiska, które znałem jak własną kieszeń. Drewniane ogrodzenia ciągnęły się po horyzont, a na tle zieleni poruszały się ciężkie, powolne sylwetki moich krów.

Było ich kilkadziesiąt. Angus i herefordy, solidne bydło mięsne, mocne i odporne, stworzone do życia w Montanie. Pasły się spokojnie, nie zwracając na mnie uwagi. W ich rytmie nie było miejsca na pośpiech. Także mój każdy dzień wyglądał podobnie: poranne karmienie, sprawdzanie ogrodzeń, praca przy maszynach, kontrola stada. To była odpowiedzialność, która nie pozwalała mi na błędy.

Podszedłem bliżej ogrodzenia i oparłem się o drewnianą żerdź. Patrzyłem, jak jeden z byków stoszy się przy drugim, po-

kazując swoją przewagę. Ten widok zawsze mnie uspokajał i przypominał, że natura rządzi się swoimi prostymi zasadami. Siła, cierpliwość, przetrwanie.

Zsunąłem kapelusz głębiej na oczy i przetrąłem dłonią kark. Farma była wszystkim, co miałem. Wszystkim, co znałem. Była moją dumą i moim więzieniem zarazem. Tutaj nie było miejsca na kaprysy miejskich panienek, sentymenty czy na wspomnienia, które próbowały zakorzenić się w głowie.

Nie było miejsca na rozproszenie...